FUNDAMENTY

PAŃSTWO – MIĘDZY NADZIEJAMI A ZŁUDZENIAMI

Piotr Głowacki · 20 lutego 2025

Celem artykułu jest rozważenie, w jakim stopniu państwo polskie może być w obecnych realiach uważane za główne narzędzie do stawienia czoła wyzwaniom stojącym przed Polską.



Rozważania o państwie i jego roli można prowadzić na dwa sposoby. Pierwszy pyta o docelową wizję państwa, o dalekosiężne zamierzenia, o państwo działające w rzeczywistości społecznej, którą chcielibyśmy w Polsce widzieć. U podstaw tego podejścia leżą zazwyczaj dwa wyidealizowane założenia.

Jedno dotyczy celów osób kierujących państwem, drugie – środków, jakimi dysponują. Pierwsze mówi, że państwem rządzą generalnie dobrzy ludzie (najczęściej w domyśle: my). Wówczas elicie państwowej przyświeca ideał dobra wspólnego. Zgodnie z drugim założeniem administracja państwowa, oświecana zbożnym celem, posiada właściwe środki do jego realizacji, potrafi właściwie je dobierać i sprawnie się nimi posługuje. Założenia te sformułowałem w nieco hiperbolicznej postaci. Zapewne niejeden czytelnik wzdrygnie się, słusznie uznając, że nie ma chyba rozsądnych ludzi, którzy ślepo wierzyliby w państwo i nie dostrzegali jego ograniczeń. Słowem: pod tak ujętymi tezami nie podpisze się nikt. Owszem, napisane czarno na białym brzmią może one zbyt mocno i na poziomie teorii nietrudno je odrzucić. W prak-

tyce jednak trudno nieraz nie ulec wrażeniu, że założenia te bez większych korekt są trwale osadzone w głowach polityków dążących do objęcia kuratelą państwa nowych obszarów życia społecznego. Jak bowiem wytłumaczyć rosnącą od upadku komunizmu liczbę urzędników[1], jeśli nie przede wszystkim rosnącą liczbą obowiązków, a zatem i prerogatyw państwa? Jak wyjaśnić ambicje Brukseli, chcącej gromadzić coraz większe ilości danych, jeśli nie przeświadczeniem o możliwości ich właściwego przetworzenia i wykorzystania? Z czego wynika wiara w możliwość zatrzymania zmian klimatycznych za pomocą metod centralistycznych obejmujących swoimi zamierzeniami zmianę stylu życia dużej części ludzkości, jeśli nie wiarą, że te środki okażą się skuteczne? Jak w końcu tłumaczyć zamiłowanie rządów Prawa i Sprawiedliwości do kumulowania coraz większej potęgi w rękach władzy wykonawczej? Owszem, wszystkie te przypadki można wytłumaczyć również zwykłą, egoistyczną zachłannością ludzi władzy. A jednak bez wątpienia przynajmniej częściowo stoją za tym dobre intencje – ludzie chcą zmieniać świat na lepsze przy pomocy państwa.

Od razu trzeba zastrzec, że autorowi niniejszego tekstu nie jest bliski liberalny dogmatyzm, który arbitralnie stwierdza, że państwo winno ograniczyć horyzonty swojego działania np. tylko do obronności, a inne obszary z definicji powinny być spod wpływu władzy centralnej wyłączone. Nie jest również autor wolny od pewnego uroku obietnicy naprawienia różnych bolączek Polski i świata przez państwo. Wydaje się jednak, że zarówno skomplikowanie obecnego świata, dynamika jego zmian, a także ideologiczne zakorzenienie Polski AD 2023 w strukturach świata zachodniego każą przemyśleć, jakie problemy naszej ojczyzny mogą być rozwiązane przy pomocy instytucji publicznych, w jakich przypadkach jest to wątpliwe, a także w których obszarach państwo stanowi wręcz zagrożenie.

Celem artykułu jest rozważenie, w jakim stopniu państwo polskie może być w obecnych realiach uważane za główne narzędzie do stawienia czoła wyzwaniom stojącym przed Polską. Ich wyczerpujący opis to zadanie godne sążnistej księgi. Na potrzeby niniejszego tekstu ograniczę się do uproszczonego opisu dwóch rodzajów wyzwań: materialnych i niematerialnych. Tak jak człowiek do rozwoju potrzebuje pracy nad swoim duchem i ciałem („w zdrowym ciele zdrowy duch"), tak i naród ma dwa rodzaje potrzeb: odnoszące się do ducha (w uproszczeniu: niematerialna kultura narodu, jego tożsamość, religia etc.) oraz do ciała (bezpieczeństwo, gospodarka, zdrowie obywateli etc.). Uznaję wagę obu wymiarów, jednak przyznaję prymat wyzwaniom niematerialnym („Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą").

Artykuł podzieliłem na trzy zasadnicze części: w pierwszej rozważam ograniczenia państwa jako narzędzia do realizacji celów, w drugiej zastanawiam się nad tym, co dobrego, a co złego może wyniknąć z dużego i sprawnego państwa w kontekście zachodzących strukturalnych przemian społecznych. W ostatniej części tekstu po wyciągnięciu wniosków z dwóch poprzednich sekcji odnoszę się przede wszystkim do taktyki, jaką prawica powinna wobec tego przyjąć.

Słabość państwa

Obecne czasy rzucają państwu narodowemu jako instytucji poważne wyzwanie. Globalizacja wyraźnie podmyła granice suwerenności państwa przede wszystkim na płaszczyźnie gospodarczej. I nawet jeśli obecnie przeżywa ona zadyszkę, a może nawet kryzys, to nowy, światowy ład nie będzie raczej zdeglobalizowaną siecią małych ojczyzn, lecz porządkiem opartym na kilku wielkich, rywalizujących ze sobą blokach. Technologia częściowo podważyła suwerenność terytorialną – przepływ danych, idei czy części

usług jest odporny na istnienie granic. Instytucje międzynarodowe, zwłaszcza Unia Europejska, w bezprecedensowy sposób wykazują ambicje do ingerencji w wewnętrzne sprawy państw narodowych. Te i inne wyzwania nie omijają Polski. Nasz kraj, jako państwo średnie, jest zbyt mały, by marzyć o odwróceniu tych trendów, choć może być dostatecznie duży, żeby przynajmniej w pewnym stopniu się im oprzeć. Odzyskanie zewnętrznej podmiotowości wymaga stawienia czoła federalizacyjnym zakusom Brukseli, postawienia się gigantom technologicznym czy też prowadzenia rozsądnej, wielowektorowej polityki zagranicznej, także w wymiarze zdywersyfikowanych relacji handlowych. A wszystko to w warunkach zagrażającej nam w najbardziej z tradycyjnych sposobów Rosji. To potężne wyzwania, a stawienie im czoła na dziś sytuuje się na pograniczu dalekich planów i marzeń. Pora sobie uzmysłowić, że w takich warunkach strategiczne programowanie polityki państwa polskiego odbywa się *de facto* poza naszym wpływem. Politykom w Warszawie oczywiście nadal pozostało nieco władzy, ale w praktyce mogą ją realizować jedynie w ramach określonych przez demokratyczno-liberalne paradygmaty. O tym, co dzieje się przy próbie lekkiego wyjścia poza te ramy, przekonał się rząd PiS-u, kiedy spróbował dokonać reformy sądownictwa. Opór Brukseli i ostatecznie skuteczne złamanie woli polskiego rządu za pomocą ekonomicznego szantażu pokazały Polsce jej miejsce i są jedną z cenniejszych lekcji dla obserwatora polskiej polityki ostatnich lat. Innej nauczki dostarczyła z kolei próba ograniczenia oddziaływania mediów z obcym kapitałem (w tym przypadku amerykańskim) na polskie społeczeństwo. Nasz „gwarant bezpieczeństwa" *de facto* zagroził Polsce sankcjami, czym przypomniał, że obecność wojsk amerykańskich w Polsce nie tylko chroni nas przed Rosją (co w dzisiejszej dobie niezaprzeczalnie cenne), lecz także utrwala określony ład i zabezpiecza interesy światowego hegemona nad Wisłą.

> Uwikłanie Polski w Unię Europejską, dwuznaczność i asymetryczność naszego sojuszu z USA oraz głębokie spenetrowanie polskiego życia społecznego przez amerykańskie korporacje sprawiają, że prowadzenie polityki może odbywać się w dość wąskich, demoliberalnych ramach. Neoimperialna polityka Rosji ogranicza przy tym możliwość poszukiwania alternatywnych dróg i utrwala miejsce Polski w bloku państw demokratyczno-liberalnych. To zasadnicze ograniczenie programowania ambitniejszej polityki przez państwo polskie, zwłaszcza w wymiarze polityki kulturalnej czy tożsamościowej.

Nie tylko zewnętrzne okoliczności ograniczają jednak pole manewru polskim politykom. Wciąż aktualnym problemem jest słynny imposybilizm i teoretyczność państwa polskiego. Nad zagadnieniem tym wylano już wiele atramentu, a jednak wciąż wydaje się, że uczestnicy debaty politycznej nie przyjęli tego faktu do świadomości, skoro nie przestają snuć wizji wielkich reform w obszarze usług publicznych, energetyki czy mieszkalnictwa. Trzeba powiedzieć jasno – bez gruntownej reformy instytucjonalnej państwa polskiego wielkie projekty (a lista tych, które są coraz bardziej potrzebne, jest długa) będą udawać się niezwykle rzadko, bądź to z pomocą niezwykłego zrządzenia losu, bądź zewnętrznego przymusu, np. dyktatu Brukseli, która przymusi polskie elity do transformacji energetycznej groźbą kolejnych sankcji i szantaży. Lata zaniedbań kolejnych ekip w reformie państwa mimowolnie wywołują wątpliwości, czy rzeczywista naprawa publicznych instytucji jest w ogóle możliwa. Czy był do tego lepszy czas niż chociażby pierwsza kadencja rządów Zjednoczonej Prawicy? Stabilna większość parlamentarna, brak konieczności zawierania koalicji, silna pozycja Jarosława Kaczyńskiego jako lidera rządzącego ugrupowania i nieźle

zdiagnozowane problemy państwa w eksperckim zapleczu partii władzy – to optymalny moment na strukturalne reformy, które niestety nie nastąpiły. Nie sposób uzasadnić tego jedynie nieudolnością kadr – wydaje się raczej, że przyczyny zaniedbania były przede wszystkim inne. Po pierwsze, to skala wyzwań. Imposybilizm ma swoje korzenie zarówno w niektórych zapisach konstytucji, jak i kulturze całej klasy politycznej. Partyjniactwo, pieniactwo, koteryjność – to cechy sprzyjające rozwojowi resortowego państwa teoretycznego, a nie sterownej, strategicznie myślącej administracji państwowej. Po drugie, naprawa państwa wcale nie musi się politycznie opłacać. Logika polaryzacji, specyfika mediów społecznościowych, dominacja marketingu politycznego nad prawdziwą polityką sprawiają, że godzina zainwestowana w pisanie tweetów lub uśmiechanie się do obiektywu aparatu robiącego selfie dają politykowi wyższy zwrot polityczny niż namysł nad państwem i jego realnymi problemami. To wszystko prowadzi do podobnego wniosku co w przypadku ograniczeń zewnętrznych. Odzyskania sterowności wewnętrznej przez państwo polskie należy sobie życzyć i o nie zabiegać, ale nie należy się go zbyt szybko spodziewać.

Tu zmierzam do bardziej ogólnej konkluzji. Każdy ambitny pomysł rodzący się w idealistycznej głowie polskiego patrioty, każda nadzieja pokładana w państwie jako podmiocie, który może posłużyć do stawienia czoła wyzwaniom współczesności, muszą być poddane korekcie o sformułowane powyżej zastrzeżenia. Obawiam się, że najwyższej próby ludzie o najbardziej szczytnych przekonaniach, którzy dziś otrzymaliby w prezencie od losu stery państwa na jedną kadencję, mogliby co najwyżej rozpocząć długotrwały proces wychodzenia państwa polskiego z głębokiego wewnętrznego i zewnętrznego kryzysu.

Państwo wrogiem?

Niesterowność i ograniczony zakres podmiotowości zewnętrznej to niejedyne zmienne, które musimy brać pod uwagę, rozważając stosunek do państwa. Trzeba również uczciwie zmierzyć się z pytaniem o to, jaki ideowy rys będzie miało państwo polskie w dającej się przewidzieć przyszłości. Popularne przekonanie mówi o Polsce pękniętej na dwie połowy: pierwszą – liberalną, wielkomiejską, zlaicyzowaną i traktującą wszelkie tradycyjne tożsamości jako wstydliwy balast, oraz drugą – prowincjonalną, bardziej wsobną, tradycyjną, religijną i wspólnotową. Dopóki ten skądinąd uproszczony obraz jest prawdziwy, dopóty prawica, której naturalnym zapleczem jest ta druga połowa Polski, ma uzasadnione prawo marzyć o kształtowaniu państwa na swoją modłę. Trzeba przy tym patrzeć dalej, przyjmować do wiadomości trendy społeczne i wyciągać z nich wnioski dla polityki państwa.

Wydaje się bowiem, że nieuchronnym zjawiskiem jest powiększanie się puli wyborców liberalnych względem tych tradycyjnych. Świadczą o tym w zasadzie wszystkie badania zajmujące się zmianą społeczną. Elektorat prowincjonalny aspiruje do wielkomiejskości i wydaje się nasiąkać wartościami liberalnymi. Polska młodzież laicyzuje się w błyskawicznym tempie i przyjmuje postawy indywidualistyczno-konsumpcyjne. To dobrze rozpoznane i zdiagnozowane zjawiska, z których na nieliberalnej prawicy często jednak nie wyciąga się wniosków. Trzeba sobie bowiem zadać pytanie, czy państwo w pewnym zakresie nie powinno być już postrzegane nie jako nadzieja, lecz zagrożenie *in spe*. Uwagi te mają zastosowanie w odniesieniu do problemów związanych z duchem narodu. Dylematy te ujawniają niekiedy się już dziś, przy końcu drugiej kadencji rządów Prawa i Sprawiedliwości. Weźmy za przykład próby wzmocnienia władzy centralnej nad szkołami za pośrednictwem kuratorów, dzięki czemu minister będzie miał istotnie większy wpływ na wybór (i odwoływanie) dyrektorów szkół (tzw. Lex Czarnek). W tle tego pomysłu przewija się problem wprowadzenia przez niektórych dyrektorów do szkół wątpliwych treści programowych i ideologicznych (np. tzw. tęczowe piątki). Nie ulega wątpliwości, że wyeliminowanie takich ekscesów ze sz-

kół jest zamierzeniem chwalebnym. A jednak wzmocnienie władzy ministerstwa względem dyrektorów, zwłaszcza w fazie prawdopodobnego schyłku rządów swojej formacji, wydaje się wątpliwe. Tworzony jest bowiem instrument, który wkrótce może zostać użyty przez opcję przeciwną, tym razem przeciw konserwatywnym dyrektorom szkół. Ten dylemat jest obecny na wielu poziomach polityki edukacyjnej, kulturalnej czy historycznej państwa. Nie sprowadza się on przy tym do problemu zmiany władzy w perspektywie jednej kadencji, lecz odnosi do bardziej trwałych trendów społecznych i malejących szans na udział ideowej prawicy w rządach w ogóle. Odpowiedź na ten dylemat sprowadza się do następującego pytania: czy za bardziej prawdopodobne uważamy przejęcie władzy centralnej przez środowisko skłonne i zdolne do realizacji prawicowego programu edukacyjno-kulturowego czy utrzymanie przez ludzi reprezentujących podobne wartości szeregu przyczółków na poziomie lokalnym? Za wcześnie, by pierwszą z opcji uważać za wykluczoną, jednak już dziś roztropne wydaje się podjęcie refleksji nad tym, jak w największym stopniu konserwować lokalne inicjatywy i środowiska, które w przyszłości zapewne staną w opozycji do państwa polskiego realizującego liberalną agendę obyczajową. A to wiązać się może raczej z postulatami decentralizacji i wycofania się państwa z niektórych sfer życia.

Mówiąc o dominacji ideologicznej, nie mówię, rzecz jasna, tylko o przenikaniu lewicowych aktywistów do instytucji kultury czy placówek edukacyjnych. Chodzi o głębokie zakorzenienie liberalno-lewicowych paradygmatów, które reprodukowane będą przez zwykłych ludzi, nieuświadamiających sobie ich ideologicznego ładunku. Wszystkie te cechy są i w coraz większym stopniu będą nadreprezentowane wśród ludzi pracujących w sektorze publicznym – przez urzędników, nauczycieli, kadrę uniwersytecką etc. Wprowadzanie wszelkich zmian w duchu nieliberalnym jest i będzie utrudnione nawet po przejęciu władzy przez prawicę dzięki głosom bardziej tradycyjnej części społeczeństwa. Brakiem uformowanych kadr można zresztą m.in. tłumaczyć naskórkowość zmian w dziedzinie edukacji czy szkolnictwa wyższego w okresie rządów PiS. Trendy społeczne wskazują, że ten problem będzie się jedynie pogłębiał.

Nieco inaczej sprawa się ma z drugim rodzajem wyzwań, odnoszącym się do materialnego życia narodu. Dominacja aksjologiczna formacji lewicowo-liberalnych nie musi wykluczać się z perspektywami wzrostu społecznej zamożności, rozwoju innowacyjnej gospodarki czy budową sprawnej opieki zdrowia. Nawet w nieprzyjaznym otoczeniu ideologicznym osiągnięcia w tych sferach, choć drugorzędne, nie są bez znaczenia. W ten sposób zresztą należy ocenić chociażby dorobek III RP. Z jednej strony postępująca laicyzacja, indywidualizm i zachłyśnięcie się liberalnymi wartościami to niewątpliwie zjawiska przesądzające o krytycznej ocenie ostatnich dekad. Równocześnie jednak bezprecedensowe doganianie Zachodu w sferze gospodarczej, rozwój infrastruktury czy stopniowa budowa polskiego prywatnego kapitału zwiększają potencjał polityczny Polski. Do jego wykorzystania potrzeba jednak zdolnych i ambitnych elit politycznych i społecznego nacisku. Sprostanie kolejnym wyzwaniom – takim jak budowa elektrowni jądrowych i transformacja energetyczna, rozbudowa i modernizacja armii, ambitne projekty infrastrukturalne, np. Centralny Port Komunikacyjny, czy poprawa sytuacji mieszkaniowej – jest możliwe w warunkach postępujących trendów kulturowych.

> Ideologiczne upodabnianie się Polski do reszty krajów Zachodu wymaga więc refleksji nad postulatami odnoszącymi się do państwa. Z jednej strony wydaje się, że w sferze kulturowej państwo ma realnie coraz mniej pozytywnego do zrobienia, z drugiej – instytucje państwowe mają do odegrania ważną rolę w dziedzinie gospodarki czy bezpieczeństwa. Obraz jest więc niejednoznacz-

ny.

Strategia wobec państwa

Na szeroko rozumianej prawicy można wyróżnić trzy odpowiedzi na zarysowane wyzwania i dylematy. Pierwsza, reprezentowana m.in. przez obóz władzy, wiąże największe nadzieje z instytucjami państwowymi i mówi o konieczności ich przejęcia, poszerzenia pola ich oddziaływania i w ten sposób urabiania społecznej i politycznej rzeczywistości. Opisywane przeze mnie ograniczenia i zagrożenia są co najwyżej teoretycznie zauważane, jednak w niewielkim stopniu przekładane na formułowanie recept i polityczną praktykę. Drugie podejście nazwać można konserwatywno-liberalnym. Dostrzega ono zagrożenia i ograniczenia nadmiernego rozrostu państwa i może niekiedy formułować pożyteczne recepty. Czyni to jednak często w duchu sobiepaństwa i liberalnego populizmu. Trzecia odpowiedź to świadome ograniczenie się do działalności społecznej, głównie na lokalnym poziomie, wynikające z przeświadczenia o zdecydowanym zwycięstwie opcji liberalno-lewicowej w walce o rząd dusz i o niemożności zmiany tego stanu rzeczy za pomocą narzędzi politycznych i państwowych. To stanowisko, jako nadal rzadko wyrażane w polskiej debacie, zasługuje na nieco więcej uwagi.

Jego korzenie tkwią na Zachodzie, gdzie porażka prawicy na poziomie społecznym jest najbardziej widoczna i wydaje się nieodwracalna. Choć można wskazać wielu jego przedstawicieli, to skupię się na dwóch myślicielach, których można zaliczyć do nurtu komunitarystycznego, a których prace spotkały się z pewnym oddźwiękiem również w Polsce. Pierwszy z nich to Rod Dreher, autor książki *Opcja Benedykta. Jak przetrwać czas neopogaństwa*. Tytułowa opcja Benedykta to właśnie strategia zalecana przez Drehera chrześcijanom wobec ich faktycznego wyrugowania z zachodniej sfery publicznej. Nawiązuje on do św. Benedykta, założyciela pierwszych katolickich wspólnot monastycznych w VI w., które to wobec zalewu barbarzyńskiego pogaństwa późnej starożytności i wczesnego średniowiecza pomogły przechować czystą wiarę i ideał życia chrześcijańskiego. Stały się one, zdaniem Drehera, zaczynem późniejszego odradzania się chrześcijaństwa w sferze społecznej.

Podobną myśl wyraża Patrick Deneen w swojej książce *Dlaczego liberalizm zawiódł?* W większym stopniu rozwija on argumentację poświęconą samej diagnozie – analizie głębokich przyczyn stojących za odwrotem od wartości wspólnotowych i chrześcijańskich. Druzgocąca krytyka liberalizmu i leżącego u jego podstaw indywidualizmu i egoizmu prowadzi do zbieżnych recept. Deneen nie wierzy w wielką politykę, która zwłaszcza w demokratycznych warunkach opiera się na zaspokajaniu oczekiwań elektoratu, a te kształtuje dominująca kultura indywidualizmu. Źródła odwrócenia trendów kulturowych (nierychłego) upatruje raczej w odbudowie lokalnych wspólnot i stopniowym, oddolnym zmienianiu rzeczywistości społecznej.

Diagnozy i recepty amerykańskich komunitarystów, choć w mojej opinii celne i inspirujące, naznaczone są z perspektywy polskiej prawicy przynajmniej dwoma wątpliwymi rysami. Przede wszystkim brak w nich odniesienia do podstawowej wspólnoty politycznej – narodu oraz państwa jako formy jego organizacji. Nie trzeba być ortodoksyjnym nacjonalistą, by uznać, że przynajmniej spora część spraw publicznych powinna być zarządzana na poziomie wspólnoty narodowej. Perspektywa wielu komunitarystów, ale także chociażby identytarystów, niekiedy słusznie dowartościowując wspólnoty lokalne, o tej prawdzie zapomina. Obaj myśliciele piszą jedynie o kwestiach kulturowo-religijnych. Jak już wspominałem, również przyznaję pierwszeństwo zagrożeniom uderzającym w duszę narodu, jednak nie oznacza to

zupełnego pominięcia wagi zagadnień jego materialnej egzystencji. Inny problem z diagnozami Deneena i Drehera polega na odmienności sytuacji Ameryki i Polski. Stwierdzić, że każdy kraj ma swoją specyfikę i powinien samodzielnie wytyczać swoją ścieżkę – to truizm. Mniej banalne jest jednak właściwe rozpoznanie momentu dziejowego i społecznych trendów. Choć Polska niewątpliwie wpadła w koleiny zachodnich społeczeństw i nasze społeczeństwo podlega bardzo zbliżonym procesom, to jednak determinizm nie jest dobrym doradcą. Nieraz historia płatała figla swoim obserwatorom, przekonanym o nieodwołalności jej wyroków i losów, a i nasz naród pokazywał czasami, że zgodnie ze słowami wieszcza jest jak zaskorupiała lawa, w której głębi płonie jednak gorący ogień. Powinniśmy być ostatnimi, którzy w ten ogień zwątpią i zarządzą przedwczesne zejście do katakumb. To chwalebne zapóźnienie w kulturowych „postępach" względem Zachodu daje nadzieję na choćby trochę odmienną ścieżkę dla Polski.

Nie zmienia to faktu, że w komunitarystycznych diagnozach i receptach tkwi wiele racji. Nadzieje, jakie interesujący się sprawami publicznymi pokładają w polityce krajowej, są dziś z pewnością zbyt duże. Spory demokratycznych polityków mają więcej do czynienia z wyreżyserowanym spektaklem i oderwaną od rzeczywistości grą o władzę niż z rozwiązywaniem realnych bolączek. Symbolem tego problemu jest rozpolitykowany człowiek zamknięty w czterech ścianach swego domu i śledzący całymi dniami telewizyjne kanały informacyjne lub polityczne media społecznościowe, a nie uczestniczący w realnym życiu wspólnoty, działający w organizacjach pozarządowych, kultywujący żywe, wspólnotowe tradycje i przekazujący je kolejnym pokoleniom – choć rozpolitykowany, jest to w istocie bierny konsument politycznych treści, dających mu złudne poczucie przynależności do jednego z plemion. Polityka zaś wydaje się instrumentem nieadekwatnym wobec naczelnego problemu – przemian kulturowych, tożsamościowych i religijnych. Odpowiedzią na te wyzwania musi być dowartościowanie oddolnej pracy w małych wspólnotach. Praca ta może mieć różnorodny charakter: religijny, kulturalny, ekologiczny, paramilitarny czy gospodarczy, a jej istotą jest oddolne budowanie struktur alternatywnych wobec tych głównonurtowych i kultywowanie w ich ramach autentycznej, żywej kultury religijnej i narodowej. Nie jest to czas, by budować je w jawnej opozycji wobec państwa, ale powinniśmy być przygotowani, że w przyszłości mogą się one takimi stać. Takie przedsięwzięcia mają zresztą ugruntowaną pozycję w polskiej historii – to pozytywistyczna praca organiczna i praca u podstaw. Warto tę tradycję wskrzeszać i reinterpretować w duchu nowych wyzwań. Przekonanie o potrzebie podjęcia takiego przedsięwzięcia jest obecne m.in. w myśli Rafała Ziemkiewicza, który pisał o konieczności ponownego unarodowienia całych polskojęzycznych mas – tym razem w dziele narodowej oświaty miejsce ciemnego XIX-wiecznego chłopstwa zająć mają m.in. „młodzi, wykształceni z wielkich miast".

Na uwagę zasługuje również koncepcja protopii, która zyskała pewną popularność w kręgach lewicy (na gruncie polskim popularyzuje ją głównie lewicowa działaczka Joanna Erbel). Protopia to trzecia droga między dystopią a utopią. Dystopia to przeciwieństwo utopii, to stan rzeczy, w którym spełniają się czarne scenariusze bez większej nadziei na poprawę. O dystopii zazwyczaj mówi się w kontekście wielkiej katastrofy naturalnej lub zagłady nuklearnej, burzących całą cywilizację, bądź w odniesieniu do świata, w którym sztuczna inteligencja przejmuje władzę nad człowiekiem. Za pewien rodzaj dystopii dla ludzi prawicy można uznać nieodwracalne zmiany społeczne, zupełny triumf lewicowych wartości, wypleniający pojęcia takie jak naród, religia czy tradycja. Takie fatalistyczne myślenie, niezależnie od prawdziwości przesłanek za nim stojących, wiedzie wprost ku eskapizmowi, zniechęceniu i wycofaniu się do sfery prywatnej z myślą o nieodwołalnym tryumfie sił zła. Myślenie utopijne dla odmiany odwołuje się do wyidealizowanych wizji, zakłada walkę o pełną stawkę w oderwaniu od rzeczywistości i narzucanych przez

nią ograniczeń. Protopia to metoda ewolucyjnej zmiany społecznej polegająca na prototypowaniu (stąd nazwa) rzeczywistości – wdrażaniu jej małymi krokami. To zatem właśnie wypracowywanie pewnego ideału życia społecznego w mniejszych wspólnotach z nadzieją, że wynikające z nich dobro będzie promieniować na szersze rzesze ludzi. Protopia docenia oddolne, stopniowe zmiany i cząstkowe zwycięstwa. W logice protopii mieści się również zmiana rzeczywistości przez akcyjność – pojedyncze kampanie organizowane wokół jednego tematu. Taki model działania w większym stopniu przyciąga uwagę współczesnego człowieka, zachowującego awersję do kampanii państwowych czy też działania ustrukturyzowanych organizacji partii politycznych. To, co przyciąga ludzi do akcyjności, to choćby pozór oddolności i spontaniczności. Nie wyklucza to umiejętnego animowania akcyjności przez organizację o trwałej strukturze. Jednym z niewielu przykładów takiego działania prawicy zakończonego względnym sukcesem była kampania sprzeciwiająca się majątkowym roszczeniom żydowskim (tzw. ustawa 447). Choć trudno mówić, by trwale zmieniło to rzeczywistość społeczną, to było to punktowe zwycięstwo. Właściwa wygrana w walce o rząd dusz musi składać się z setek takich zwycięstw. Ograniczenia we współczesnym oddziaływaniu na społeczeństwo przez państwo pokazują z kolei losy pamięci o Żołnierzach Wyklętych. Państwo pod rządami PiS-u wzięło ich na swoje sztandary, szeroko promując przy najrozmaitszych okazjach. W zasadzie trudno sformułować konkretny zarzut pod adresem instytucji państwowych – zrealizowały one wiele ciekawych i dobrych inicjatyw. A jednak ich państwowy charakter nadał im nieuchronnie odgórny, sztywny i nieautentyczny rys, na czym realna pamięć o Żołnierzach Wyklętych, jak się wydaje, straciła. Nie oznacza to, że nie ma miejsca na umiejętnie robioną państwową politykę historyczną. Przykład kultu Żołnierzy Wyklętych daje jednak do myślenia i świadczy o jej poważnych ograniczeniach.

Wnioski

Polityka demokratyczna to gra, w której stawką jest władza państwowa. Znaczna część opinii publicznej właśnie ku państwu kieruje swe oczekiwania i nadzieje na rozwiązanie rozmaitych problemów. Politycy, by zwyciężyć w tej grze, muszą prezentować się swoim wyborcom jako osoby zdolne do daleko idącej przemiany rzeczywistości. W znacznej mierze to tworzenie iluzji. Tak naprawdę bowiem sprawczość państwa polskiego uległa znacznej erozji. Zadaniem prawicy jest tę sprawczość krok po kroku odbudowywać. Postulaty i programy polityczne nie mogą być jednak formułowane na podstawie wyidealizowanego obrazu silnego i podmiotowego państwa. Realistycznie rozumiana polityka to sztuka osiągania możliwego w określonych warunkach. Dziś w jej ramach możliwa jest stopniowa reforma instytucji państwowych. Zadaniem nie mniej ważnym, lecz trudniejszym jest prowadzenie polityki zagranicznej maksymalizującej faktyczną sprawczość państwa, nie jedynie samozadowolenie z poklepywania po plecach przez tych czy innych zagranicznych polityków. Z pewnością możliwy jest dalszy rozwój kraju w materialnym wymiarze i tu państwo ma aktywną rolę do odegrania. Równocześnie pierwszorzędne problemy narodu związane z przemianami kulturowymi wydają się nierozwiązywalne przez państwo. Próby takie mogą dać wręcz niekiedy skutek odwrotny od zamierzonego. Choć zbyt wcześnie na wywieszanie białej flagi na froncie politycznym, to najwyższy czas na refleksję, jaką strategię działania powinna przyjąć prawica w obliczu postępujących przemian kulturowych, których w przyszłości rozsadnikiem będzie już nie tylko amerykańska kultura masowa, lecz także samo państwo polskie. Czas podjąć refleksję nad wycofaniem się państwa z części obszarów w dziedzinie oświaty i kultury. Jak pouczają przykłady państw Europy Zachodniej, ograniczających w różny sposób swobodę wypowiedzi tzw. skrajnej prawicy, ważnym wyzwaniem dla prawicy jest walka o realną wolność słowa. Liberalny posmak tego postulatu nie powinien sprawić, że zostanie

on zaniedbany.

Niewykluczone, a wręcz prawdopodobne, że w perspektywie najbliższych kilku dekad jedynym osiągalnym celem dla prawicy, przy założeniu względnej wierności podstawowym pryncypiom, będzie nie władza w państwie, ale przetrwanie jako mniejszościowy, wyrazisty głos w debacie publicznej. Szczególnie ważkim zadaniem jest dowartościowanie pracy u podstaw – (od)budowy wspólnot realnie żyjących tradycyjnymi wartościami i kultywujących tożsamość lokalną i narodową. Część uwagi i wysiłku, który dziś osoby aktywne w życiu publicznym poświęcają polityce partyjnej, powinna zostać przekierowana na działalność w sferze społecznej czy kulturowej. Bez stworzenia społecznej bazy wymagającej od polityków jasnego opowiedzenia się przeciw zachodzącym przemianom kulturowym demokratyczne mechanizmy w nieuchronny sposób wymuszą na politykach coraz dalej idące kompromisy i ideowe rozmycie. A jeśli sól utraci swój smak, czymże ją posolić?

---

[1] Autorowi udało się dotrzeć do danych za lata 1981–2011 pokazujących niemal nieprzerwany wzrost po 1989 r.: http://www.spoleczenstwo.pl/lewiatan/ (dostęp: 16.02.2023).

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=c5NLjDb4N5s

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/panstwo-miedzy-nadziejami-a-zludzeniami/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć